Rocznik II. Kraków, 1 czerwca 1900. Numer 6.

SKARBNICA

pismo miesięczne
popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:
Ks. Marceli Dziurzyński.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:

Przedpłata roczna wynosi w **Austryi: 5** koron (**2** złr. **50** ct.), **półroczna: 2** korony **50** hal. (**1** złr. **25** ct.). **W Niemczech** na rok: **5** marek. — **W Ameryce** rocznie: **1**½ dolara.

Każdy, kto składa z góry **całoroczną** przedpłatę otrzymuje jako bezpłatną premię: **Kalendarz** ścienny.

Adres:
Redakcya *Skarbnicy* **w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

NAKŁADEM WYDAWCY.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1900.

Z Alwernii w Galicyi.

Klasztor św. Franciszka na górze Alwerni rozpoczął dalszą budowę wieży — ofiary przeważnie z pruskiego Śląska wpływają, a od Polaków w Galicyi bardzo rzadko. Podpisany prosi gorąco wszystkich Szanownych Czytelników *Skarbnicy*, aby zechcieli cegiełkę małą przesłać na tę budowę kosztowną, dla Pana Jezusa słynącego cudami w obrazie Alwernijskim.

Kto prześle ofiarę co najmniej **1** złr. (**2** marki) otrzyma **obraz wielki P. Jezusa fundacyjny i mieć będzie udział w Mszach św. 52,** co roku za życia i po śmierci (każdej niedzieli). Nazwiska ofiarujących należy przy przesyłce ofiary podać na przekazie poczty.

X. Stefan Podworski
Gwardyan
w Alwernii (poczta w miejscu).

Od Wydawnictwa.

Osobno na początku niniejszego numeru donosimy o znacznem zniżeniu przedpłaty na *Skarbnicę*. Tu dodamy jeszcze, że począwszy od lipca, czyli już od następnego miesiąca, umieszczać będziemy w *Skarbnicy* oprócz powiastek i artykułów naukowych, także czasem i **ryciny** (obrazki). Objętość pisma pozostanie tasama.

Rzecz jasna, że kto zapłacił już i za drugie półrocze, podług dawnej ceny, temu się u nas pewna część złożonej należytości zostanie, jako nadpłata na rok przyszły.

Ponieważ obecnie kosztuje *Skarbnica* tylko **1** koronę i **50** hal. (t. j. zaledwie **75** centów) na pół roku, przeto nie trudno będzie życzliwym Czytelnikom zjednać nowych prenumeratorów. W tym celu pozwalamy sobie dołączyć do niniejszego numeru po kilka kartek drukowanych z zaproszeniem do przedpłaty, i prosimy rozdać je między swych znajomych, zachęcając ich, by sobie od lipca *Skarbnicę* zaprenumerowali.

Szan. Czytelników, którzy dotąd zapłacili za pierwsze tylko półrocze, prosimy o rychłe nadesłanie nowej prenumeraty na nowe, drugie półrocze.

Rok II. Kraków, 1 czerwca 1900. Numer 6.

SKARBNICA

pismo popularno-naukowe i powieściowe
wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Przedpłata wynosi:

w Austryi: na rok **5** koron (2 złr., 50 ct.) na pół roku **2** korony **50** hal. (1 złr. 25 ct.) — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się.
W Niemczech: na rok **5** marek. — **W Ameryce:** rocznie **1**$^1/_2$ dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**
Każdy, kto składa z góry **całoroczną** przedpłatę, otrzymuje jako bezpłatną premię: **Kalendarz** ścienny.

Znaczne zniżenie przedpłaty!

Począwszy od drugiego półrocza, to jest już od lipca bież. roku, i nadal, przedpłata na *Skarbnicę* wynosić będzie już nie 5 koron, ale tylko **3** korony (1 złr. 50 ct) na cały rok, a **1** koronę i 50 halerzy (czyli 75 ct.) na pół roku.

Przez takie wielkie zniżenie staje się *Skarbnica* bajecznie tanią, a w naszym kraju właśnie, o to chodzi przeważnej części Czytelników. Niech pismo będzie i mniejsze, mówi wielu, byle było tanie, bo nas nie stać więcej płacić.

Mając przeto na względzie ogólną biedę, jaka w kraju panuje, zniżamy tak bardzo przedpłatę, w nadziei, że teraz i biedniejsi będą już mogli prenumerować i czytać *Skarbnicę.*

Na trzy bowiem korony może się i żebrak zdobyć, i tylko chyba niechęć do czytania, lub wstręt do oświaty może wstrzymać od tego i owego od prenumerowania tak taniego pisma.

Że zaś każdy człowiek, jako istota rozumna, powinien dążyć do oświaty, więc sądzimy przeto, że teraz przy takiej taniości, *Skarbnica* nasza znajdzie się w wielu chatach wieśniaczych.

Wydawnictwo.

Podanie z Waliszek.

Daleko po za bałwanami morza bałtyckiego, w urodzajnej dolinie spokojnie wody swe toczącego Niemna, rozsiadła się

wioska Waliszki. Pierwotnie należała ona do litewskich książąt, kiedy jednak nastąpiła unia złączenia Litwy z Polską, przeszła pod polskie panowanie. Mieszkańcami tej cichej wioszczyzny są owi wieśniacy, którzy wolni od trosk i gorączki w sprawach życia publicznego, chwalą Boga i miłują sąsiadów w prostocie ducha.

Codziennie po Mszy świętej, w której pobożni biorą udział, udają się do pracy w polu, czy to ażeby zasiać, czy aby zebrać plony, lub też pozbierać obfite zapasy miodu z niezliczonych ulów rozsypanych pod cienistymi wiązami doliny. W Niedzielę zbierają się około kościółka parafialnego i zabawiają się gawędką, gwarząc o nadziejach i obawach tyczących się żniw nadchodzących, lub opowiadając o walecznych czynach swych przodków, którzy walczyli z Tatarami nachodzącymi ich ziemie.

Pewnego pięknego wieczoru letniego wieśniacy zgromadzili się, jak to było ich zwyczajem, na cmentarzu kościelnym. Nagle powstał ruch między zgromadzonymi, którzy powstając, z szacunkiem zdejmowali czapki przed sędziwym mężczyzną do nich się zbliżającym. Zaledwie usiadł pomiędzy nimi, zewsząd ozwały się głosy: „Opowiedzcie nam Jaśku coś z dawnych dziejów“.

Starzec nie dał się dopiero długo prosić i zaczął opowiadać następujące podanie, które wieśniacy z wielkiem zajęciem wysłuchali:

„Było to we wieczór tak piękny, jak dzisiejszy. Słońce skłaniało się za grzbiety gór, ptaszki, wracając do gniazd swych na nocny spoczynek, napełniały powietrze śpiewem radosnym. Dojrzewająca pszenica falowała pod wpływem lekkiego powiewu wietrzyka przechodzącego po nad doliną. Józef Tarczas, jak to było jego zwyczajem, w tej porze wybrał się, ażeby pozbierać plastry miodu świeżo przez pszczoły zrobione na swoją wieczerzę. Kiedy się zbliżył do swoich ulów, nieznane przedtem uczucie duszę jego opanowało. Nigdy przedtem kwiaty nie wydawały tak cudownej woni, nigdy ptaszki równie radosnemi piosnkami nie napełniały powietrza, nigdy brzęczenie pszczół tak harmonijnie nie odbijało się o uszy ludzkie. Przelatując tędy i owędy, spocząwszy to na rumieniącej się róży, to na bladej lilii, to znowu wracając do swoich domostw, brzęczały, jakoby hymn cudnie piękny wznosząc na cześć swojego Stworzyciela.

„I odtąd powtarzało się to codziennie, a dusza jego pomimowoli unosiła się pobożnemi uczuciami ku niebu, kiedy do tego miejsca się zbliżał, zmysły zaś jego zachwycały się

harmonijnem pszczół tych brzęczeniem. I jego ludzie, uprawiający jego pola i obsługujący jego pasiekę, nieraz doznawali uczuć podobnych.

„Często pomimowoli z ich piersi wyrywały się podziękowania ku Bogu za przecudowne wdzięki przyrody, kiedy przechodzili przez aleje brzóz, idąc ku łąkom dalej położonym. Wracając zaś wieczorem do domów, umęczeni upałem i trudami dziennej pracy, doznawali orzeźwienia od słodkiej woni rozchodzącej się od kwiatów i roślin w obrębie pasieki.

„Często z podziwem o tem rozmawiali ze sobą i z czasem w całej wiosce wieść się rozeszła o zaczarowanem jakoby tem miejscu. Józek lubił przebywać w pobliżu miejsca tego i przysłuchiwać się brzęczeniu pszczół, kiedy wysysały słodkie soki z kwiatów przecudnych. Zdawało mu się, jakoby szczególnem zrządzeniem, znajdował się podówszas w pobliżu Boga samego.

„Zastanawiając się nad tem szczególnem uczuciem pewnego wieczoru, spotkał sędziwego Proboszcza parafii powoli kroczącego gościńcem. Zbliżywszy się do niego, w prostych wyrazach opisał mu uczucia, które duszę jego owładnęły. Kapłan słuchał go z dobrotliwym uśmiechem na łagodnej swej twarzy. „O, Józku“, powiedział, „obawiam się, że jesteś zabobonnym; zanadto wierzysz w czarodziejskie powieści. Nieraz słyszałem sąsiadów opowiadających o zaczarowanych twych gruntach, ale obawiam się, że wyobraźnia zmysły twe zanadto opanowała“. Ale Józek przy swojem obstawał. „Ojcze drogi“, — rzekł — „jest to miejsce istotnie zaczarowane. Niewątpliwie Aniołowie strzegą. Bo nawet wtedy, gdy owoce nie dojrzałe, a chwasty i osty nie powyrywane, kwiaty tam kwitną i owoce obficie z drzew się zwieszają“.

„Zaciekawiony jednak dziwnem Józka opowiadaniem kapłan postanawia iść z nim do pasieki. Idą powoli ścieżką. Kiedy zbliżają się do miejsca oznaczonego, obydwoma owłada uczucie szczególne, niebiańskie. Księdzu wydaje się, że w brzęczeniu pszczół słyszy znaną sobie melodyą. „Przed tak wielkim Sakramentem“ unoszącą się na skrzydełkach owadów. Ze schyloną głową a myślami wzniesionemi ku niebu słyszy znowu inną melodyą: „O Przenajświętsza Hostyo!“ Zdumiony szczególnem uczuciem, które go przejmuje, i wsłuchany w nadziemskie melodye obijające się o uszy jego, zwraca się znowu z zapytaniem ku Józkowi, czy inni ludzie przechodząc tamtędy słyszeli kiedy te pieśni tajemnicze i czy istnieje jakie podanie tyczące się pasieki.

Na to Józek odpowiada: „Wielu wieśniaków słyszało tu te pieśni, a dziadek mi opowiadał, że od wielu pokoleń było zwyczajem nie dotykać ula środkowego, gdyż pewnego razu, kiedy chciano wyjąć z niego plastry miodu, pszczoły zebrały się około niego i z jak największą zaciętością broniły do niego przystępu. Po kilku nadaremnych próbach dostania się do niego, pozostawiono go nietkniętym, zwłaszcza, że w innych ulach obfite zbiory zupełnie były wystarczające.

„Jakoby uderzony nową myślą z nieba zesłaną, kapłan idzie ku ulowi i ostrożnie podniósłszy pokrywę, staje przejęty zdumieniem. Na kamiennej podstawie ula spostrzega malutki ołtarzyk, wybudowany z najczystszego wosku. Od podstawy aż do szczytu wykończonego ołtarzyka panowała jak najpiękniejsza zgodność form jakoby przez pierwszorzędnego budowniczego obmyślana i wykonana. W tabernaculum zaś stała monstrancya z przechowaną w niej Przenajświętszą Hostyą.

„Na widok ten wspomniały mu się słowa: „Góry i doliny, lasy i gaje, zwierzęta i bydło, płazy i skrzydlate ptaki, chwalcie Pana!“ O tak, — pomyślał, — ptaki powietrzne sławią Syna Bożego pod postacią Chleba utajonego, kwiaty na łąkach woń swą oddają na uczczenie Hostyi niepokalanej, podczas gdy pszczoły budują dla niej przybytek i bronią przystępu rękom niepomazanym. Zastanowiwszy się nad tem, co widział i słyszał, przyszedł do przekonania, że to jest Hostya konsekrowana i padłszy na kolana, oddał cześć Bogu w Chlebie utajonemu.

„Wkrótce rozeszła się o tem wieść w całej parafii, a włościanie ze wszech stron przybywali na miejsce cudowne. Ze czcią zabierając monstrancyą, w procesyi udaje się do kościoła. Ołtarz zaś później zabrano do mieszkania Proboszcza, gdzie jako skarbu go strzeżono, dopóki w parę lat później nie stał się wraz z domem pastwą pożaru.

„Zkąd wzięła się owa monstrancya z Przenajświętszą Hostyą, kto ją w ulu umieścił, by pszczoły nad nią czuwały i ptaki jej chwałę opiewały, nie podobna już było dociec, ale sądząc ze starożytności kształtów monstrancyi i jej wykonania, rzeczoznawcy orzekli, iż była ona w użyciu na parę wieków przedtem, — a może umieścił ją w ulu jaki pobożny kapłan dla uchronienia jej od znieważenia przez Tatarów, kiedy książę Witold mężne toczył boje w obronie kraju przed najezdcami, a ów kapłan może, odprawiając Mszę św. na polu, przerwać musiał świętą ofiarę?

„I jakim sposobem Hostya utrzymała się przez wieki nienaruszoną, nie zdoła człowiek rozumem swym pojąć — Bóg tylko w odwiecznej Swojej mądrości wie o tem!“

Wesele w Jaworowie.

Wkrótce po świetnej wyprawie wojennej pod Wiedniem, gdzie to Polacy z królem Janem Sobieskim wyzwolili chrześcijan z pod ciężkiego nacisku Turków i oswobodzili ich stolicę, król Sobieski z całą rodziną przybył pod Lwów, do Jaworowa, bo lubił w tej wiosce najczęściej gościć, gdy bawił na Rusi.

Po drodze, w pochodzie tryumfalnym do Jaworowa, zajeżdżał król na zamki panów i odwiedzał dwory szlacheckie, a gdzie kościół lub klasztor napotkał, słuchał Mszy świętej, mówiąc:

— Nie schodźcie Panu, dawcy zwycięztw, z drogi.

I czynił wota i ofiary na podziękowanie za zwycięztwo Matce Boskiej, którą za osobliwą patronkę w pacholęcym jeszcze wieku był sobie obrał i do której, jako Sodalis Marianus, osobne odprawiał nabożeństwo.

Z każdą chwilą zmniejszał się wojenny orszak króla w tej podróży, bo rycerstwo spieszyło do zagród rodzinnych. Jaki taki chciał się przed swoimi pochwalić, jak żyw, a dobrze Kościołowi i ojczyźnie zasłużon, powraca. Natomiast przybywali ci, którzy w czasie wojny w domach pozostali, powiększając codziennie orszak królewski.

Błogo, uroczyście, radośnie jak błogosławieństwo ojcowskie, rozchodziła się wieść zwycięztwa po kraju. Zdawało się, że spokojne, ciche, srebrne fale Wisły z pod gór słały pieśni aż ku Warszawie. Cały naród też spieszył na powitanie zbawcy chrześcijaństwa, a wszędzie głośny to był pochód, rzewne i serdeczne przyjęcie. Chlebem i solą witały gromady po gościńcach pana; z kościelnemi chorągwiami i z święconą wodą wychodzili księża; bito po kościołach w dzwony, a z wałów po zamkach z moździerzy na cześć królowi Janowi którego berłem była po staremu buława hetmańska.

Tak przybył król Jan do Jaworowa, gdzie jeszcze tego samego dnia była uczta wielka we dworze. Pod sam już wieczór, po obiedzie, przyszła gromada z Podzamcza z chlebem i weselem. Wójt jaworowski miał śliczną przemowę do króla i ofiarował mu od swej gromady pług, bronę, wóz

i sześć siwych wołów, które z całym tym przyborem na dziedzińcu już stały. Kończąc zaś swoją przemowę, rzekł:

— Ażeście się, miłościwy Panie, pono potracili na wojnie, otóż bez urazy Waszej, daje tu Wam przeze mnie gromada w poczciwość statek kmieci na zapomogę bo za statkiem idzie i dostatek.

Król przyjął chleb, narzędzia i woły od wójta, a królowa kołacz i wieniec z barwinku i laskowych orzechów, i potem radosne rozpoczęto tańce.

W pierwszą parę poszła królowa z wójtem, w drugą król ze starościną wesela.

— A czyjażeś moja rybko? — pytał król biorąc ją do tańca.

— Kowalowa, Panie nasz — odpowiedziała kobieta.

Poszli tedy wszyscy w taniec, a za niemi pańskim wzorem panowie z dziewojami, a panie z gospodarzami.

Gdy taniec obszedł do koła, król Jan, nabrawszy szczerej już ochoty rozradować lud, tak mu wierny, krzyknął:

— Nuż teraz raźnego!

I wysunął się naprzód, wybijając to z krakowska, to znów z mazowiecka, a potem stanął przed kowalową i zaśpiewał:

A zkądżeśto? — z Jaworowa,
A czyjaśto? — kowalowa,
Kowalowa z końca,
A chodźże do tańca,
Kowalowa, Bóg daj zdrowa,
Bóg daj zdrowa, kowalowa!

Po tańcu darował król gromadzie rozmaite daniny, a wójtowi i kowalowi sołtystwo i pożegnawszy weselników, rozstał się z nimi jak ojciec z dziećmi.

Historya pieniędzy.

Kto chce poznać te drogi, któremi oświecone narody dochodziły do dzisiejszych udoskonaleń, wynalazków i wygód, powinien poznać życie ludów, znajdujących się dziś w stanie dzikim lub półdzikim.

W krajach Afryki i Australji znajdują się jeszcze gromady ludzi, pozostające na rozmaitych stopniach rozwoju. Są tacy, co żyją w stanie zupełnie dzikim; są inni, co już doszli do pewnego rozwinięcia. Te środki i sposoby, jakich ci ludzie u siebie używają, są żywem świadectwem tych środków i spo-

sobów, jakich nasi odlegli przodkowie niegdyś używali, a to dlatego, że człowiek, wyszedłszy z raju nagim, musiał własnym pomysłem do wszystkiego dochodzić, a jak dochodził, jak żył, jakich sposobów używał, daje nam właśnie o tem świadectwo życie ludzi dzikich.

Życie więc ludów dzikich, znajdujących się na rozmaitych stopniach rozwoju, to żywa historja początków własnego naszego rozwoju; bo jak człowiek dojrzały rozwinął się z niedołężnego dziecka, tak też ludy całe rozwinęły się z niedołęztwa dzikiego.

Oto jak opisuje jeden uczony ten stopniowy rozwój ludzi pod względem zaspakajania swoich potrzeb, stosunków pomiędzy sobą, wymiany wyrabianych przez się rzeczy i dojścia do wyrabiania pieniędzy.

Ludzie, żyjący jeszcze w stanie dzikim, mieli takie tylko potrzeby, jakie mają zwierzęta, dlategoteż każdy myślał sam o sobie, jak to czyni zwierzę i każdy sam sobie musiał dać radę. Ułowił jaką rybę, albo co ubił, to i zjadł, przespał się na trawie i na tem koniec.

Im więcej rozwijał się w ludziach zaród rozumu, którym Stwórca ich obdarzył, tem większe były ich potrzeby. Ludy pasterskie potrzebowały już naczynia do zbierania mleka, a może i czego więcej jeszcze. Gdy plemiona te osiadły na miejscu i zaczęły uprawiać ziemię, to już wtenczas potrzeba im było wielu rzeczy, o których tamte nie myślały wcale. Ale i tu jeszcze mógł każdy sam zaspokoić swoje potrzeby. Poruszyć kawałek ziemi płaskim kamieniem, albo płaską kością, wykruszyć w ręku dojrzałe kłosy, utrzeć je między dwoma kamieniami, zmięszać z wodą i upiec, zabić jedno bydlę na mięso, zeszyć dwie lub trzy skórki cielęce włóknem z kory, ością z ryby, jak to czynią dotąd ludy na pół dzikie, to mógł każdy zrobić sam sobie.

Ale kiedy rozum ludzki, ten najwyższy dar Boga, którym też odróżnił Bóg człowieka od zwierzęcia, rozwijał się, urabiał i doskonalił coraz więcej, w miarę tego powstawały nowe potrzeby. Im liczniejsze były te potrzeby, tym też trudniej było, żeby każdy mógł wszystko sam sobie sporządzić. Kiedy już odkryto żelazo i zaczęto z niego robić motyki i siekiery, a potem pługi, a później jeszcze piły, dłuta i inne narzędzia; kiedy już od sanek ciągnionych po ziemi przez ludzi przeszli do taczek, a od nich do wozów i do koni, — kiedy w miejsce wypróchniałego wewnątrz i ściętego kawałka drzewa zaczęto robić naczynia drewniane; — kiedy już ludzie wpadli

na myśl lepić i wypalać naczynia z gliny i robić mnóstwo innych rzeczy do gospodarstwa i do odzieży, to już wtenczas żaden człowiek nie mógł sam sobie dostarczyć wszystkiego, chociażby dzień i noc pracował.

Cóż tedy ludzie przedsięwziąć musieli? Oto każdy wziął się do tego, do czego czuł się więcej sposobnym, i co mu łatwiej było robić w okolicy, w której mieszkał. Gdzie była glina miałka, tam robili garnki; gdzie drzewo miękkie, tam naczynia drewniane; gdzie ruda żelazna, tam narzędzia. Oprócz tego, kiedy się raz kto wziął do wyprawiania skóry i do robienia z niej obuwia, to już mu nie na rękę było prząść wełnę albo len, tkać sukno i płótno i robić z nich odzież; — kiedy który się zapomógł w narzędzia kowalskie, to po cóż już mu było brać się do bednarki? Cóż z tego wynikło? Oto, że ludzie zaczęli swoje wyroby mieniać.

Długie i bardzo długie wieki upłynęły, nim ludzie wpadli na myśl robienia pieniędzy. Przedtem, ten co chciał zbyć krowę, ażeby nabyć odzież, umawiał się z tym, co się trudnił robieniem odzieży i albo mu dodał do krowy jagnię, prosię lub coś podobnego, albo wziął coś od tamtego w dodatku. Było to bardzo niewygodnie, tembardziej, że wymiany takie mogły się odbywać tylko w pobliskości, bo prowadzić, albo wieść coś opodal i na niepewne było bardzo niedogodnie, zwłaszcza, że nie łatwo trafić na takiego, któryby miał to, czego ja potrzebuję, a chciał nabyć to właśnie, co mam do zbycia. Ludzie jednak musieli znosić te niewygody, pokąd nie przyszli na myśl, że może być lepiej.

Ażeby jaśniej wyrozumieć te niewygody, jakie ludzie znosić musieli, nim wpadli na myśl robienia pieniędzy, przyjrzyjmy się dla przykładu człowiekowi, który ma do zbycia wóz, a chciałby mieć zboże. — Niesie ów człowiek swoją własność do rolnika, mającego zboże, i prosi go o zamianę, ale trafia na takiego, któremu wóz niepotrzebny, a potrzebna szafa; musi więc znów szukać takiego, który ma i szafę i potrzebuje wozu; gdy zaś znajdzie takiego, musi z nim zrobić zamianę wozu na szafę, a szafę zanieść do tamtego, co ma zboże. Ileż to trudności, zachodów, kłopotów i starań!

Ludy, które nie znały pieniędzy, lub też i dziś jeszcze nie znają, używały i używają rozmaitych rzeczy do wymiany, a zawsze takich, których było lub jest mało, boć wody, piasku, zielska niktby nie przyjął, gdyż tego jest wszędzie pełno i darmo. Otóż w kraju, zwanym Abisynja, jest bardzo mało soli, Abisyńczycy więc używają soli na dopłatę, jako pieniędzy.

W północnej Rosyi, gdzie są sobole i dzikie koty, pokryte bardzo pięknem futrem, płacą temi futrami. W Nowej Zelandyi tamtejsze ludy używają do zamiany ryby suszonej, zwanej sztokfiszem. W Afryce zamiast pieniędzy używają dzicy pewnych muszelek morskich, o które bardzo trudno, bo jest ich mało, a które stanowią piękny dla nich strój. W północnej Szkocyi kiedyś płacono gwoździami. W kraju dawnej Grecyi, zwanym Lacedemonja, robiono zamiast teraźniejszych pieniędzy tabliczki żelazne. Chińczycy dawniej płacili małemi tafelkami prasowanej herbaty. W Rzymie pierwotnie ceniono wszystko podług wartości bydła, które w języku łacińskim, przez nich używanym, nazywa się p e c u s (wymawia się: pekus). To też Rzymianie, gdy chodziło o oszacowanie jakiejś rzeczy, mówili: ta rzecz warta jest sto wołów, tamta jednego wołu, a tamta jeszcze jałówkę. Zupełnie tak samo, jak my dziś rozmaite rzeczy szacujemy mówiąc: ta rzecz kosztuje sto koron, tamta jednę koronę, a tamta jeszcze tyle, a tyle halerzy.

Gdy w Rzymie nastały pieniądze, które robiono z miedzi, to je nazywano p e c u n i a (czytaj: pekunja) od wyrazu p e c u s, co znaczy, jak się wyżej powiedziało, b y d l e.

Uczony angielski Adam Smith opowiada nam o Arabach, którzy również bydła zamiast pieniędzy używają i którzy podług ilości bydła wszystko oceniają. Kiedy po raz pierwszy usłyszeli ci ludzie o Francyi i chcieli utworzyć sobie pojęcie o jej bogactwie, to zapytali się: ile kraj ten posiada bydła? gdyż według nich żaden kraj nie może być bogatym, jeżeli nie posiada wielkich stad bydła.

Dziś jeszcze Australczycy, nie umiejący obrabiać żelaza, noszą po sto mil twardy kamień, zwany dioryt, zdatny do wyrabiania z niego siekierek, ażeby w zamian za niego dostać od innych plemion rzeczy cennych z ich stron, np. farby, zwanej ochra, do malowania ciała. W niektórych znów krajach Afryki, mieszkańcy tamtejsi, używają jako pieniędzy kawałków żelaza, kawałków tkanin i sznurków paciorek. Dotychczas jeszcze plemiona amerykańskie, żyjące w krajach odnogi Hudsońskiej, posługują się skórami bobrowemi, jako pieniądzmi i jako miarą do oszacowania wartości innych przedmiotów zamiany, tak np. trzy skóry kuny znaczą u nich tyle, co jedna skóra bobra, dwie skóry bobra tyle, co jedna skóra białego lisa.

Wogóle to, co widzimy dziś u tych ludów dzikich lub półdzikich, działo się niegdyś i u nas: gdy naród trudnił się m y ś l i w s t w e m, to jako środka zamiany, jako pieniędzy uży-

wał skór zwierzęcych; gdy koczując zaczął hodować bydło i konie, to bydła i koni do zamiany używał; gdy osiadł i zaczął się trudnić rolnictwem, a nadto gdy posiadł sposób robienia płótna, to płacił zbożem i płótnem. Podobno wyrazy płacić, zapłacić idą od płótna, jako najstarożytniejszego wyrobu słowiańskiego, używanego do zamiany. Z odkryciem nareszcie rudy kruszcowej, początkowo żelaznej i miedzianej, zaczęto używać żelaza i miedzi, jako pieniędzy. Kiedy nakoniec w rozmaitych krajach poodkrywano kopalnie złota i srebra, a miedzi było już podostatkiem, to wówczas weszło w użycie srebro i złoto zamiast pieniędzy.

Początkowo używano żelaza, miedzi, srebra i złota w sztabkach, bryłkach i kawałkach, dopiero później zaczęto z tych kruszców wyrabiać monetę, czyli to, co powszechnie dziś nazywamy pieniądze. Tak dzieje się dotąd ze znaczną częścią złota i srebra obiegowego w Azyi, gdzie ważą małe ich sztabki i obliczają wartość każdej. U Żydów zaczęto bić złotą monetę za króla Dawida; w Grecyi wprowadzono użycie monety srebrnej około roku 750 przed Narodzeniem Chrystusa, a znacznie później zaczęto tam wyrabiać monetę złotą. W Rzymie pierwszą monetę srebrną wybito w 269 roku przed Narodzeniem Chrystusa, a w 62 lata później zaczęto bić i monetę złotą.

Z nowszych państw Europy najpierw zaczęła bić monetę złotą Wenecja, później Francya i Anglja, w której pierwszą monetę wybito w r. 1277.

O kowalu, który śmierć oszukał i djabła wygrzmocił.

(Wesoła bajka ludowa).

Przed kuźnią poczciwego i pracowitego kowala zatrzymał się ubogi zakonnik jadący na osiełku i prosił naszego majstra, aby mu osła podkuł, co gdy kowal uczynił, zakonnik jako zapłatę kazał mu życzyć sobie trzech rzeczy.

Kowal bez długiego namysłu powiedział: „Najprzód życzę sobie, aby butelka moja zawsze była pełna wódki“.

— Spełni ci się to! odrzekł zakonnik, upominając go, żeby nie zapomniał o najważniejszem.

— Po drugie, mówił kowal, życzę sobie, aby złodzieje, którzyby w nocy poszli na moje gruszki, bez woli mojej zejść z drzewa nie mogli.

— Dobrze! odrzekł zakonnik, i to życzenie ci się spełni, tylko nie zapominaj — tak go znowu ostrzegał — o najważniejszem!

— Po trzecie, mówił kowal, życzę sobie, aby bez mojego pozwolenia nikt nie mógł wnijść do mojej izby, chyba dziurką od klucza.

Życzenia twoje się spełnią, odpowiedział zakonnik, żałuję tylko, żeś czegoś lepszego sobie nie życzył. To mówiąc, dotknął się ręką sztabów żelaza w kuźni się znajdujących, które natychmiast w srebro i złoto się zamieniły. Poczem zakonnik wsiadł na osiełka i pożegnał zdumionego kowala.

Tak nagle zbogacony kowal nie porzucił jednak swego rzemiosła; pracował i nadal od rana do wieczora, stół jego tylko się różnił od dawniejszego, kiedy jeszcze był ubogim. Najlepszym atoli napojem jego była jak dawniej wódeczka, która z cudownej flaszki nigdy nie ubywała, a przy tem miała tę własność, że życie pijącemu przedłużała.

Gdy kowal skończył rok setny, zapukała do drzwi jego śmierć. Kowal udawał, jakoby śmierć od dawna była mu pożądana i chętnie z nią iść gotów, prosił jej tylko jeszcze o łaskę, żeby mu pozwoliła posilić się na drogę wieczności kilku gruszkami z ogrodu jego. Śmierć zezwoliła i poszła nawet z nim do ogrodu.

Gdy stanęli pod drzewem pełnym pięknych dojrzałych gruszek, rzekł kowal do śmierci: „Mnie staremu ciężko na drzewo się wskrabać, wleź więc z łaski swej na drzewo i zerwij dla mnie kilka gruszek!

— Owszem, odpowiedziała śmierć, na drzewo się skrobiąc, a gdy już weszła na drzewo, zawołał uradowany kowal: Siedźże tam teraz dopóki ci zejść nie pozwolę.

— Długie lata siedziała śmierć jak przykuta na drzewie, a przez cały ten czas nikt na ziemi nie umarł. Dawno już wszystkie gruszki, a w końcu i liście śmierć z drzewa zjadła, a kowal tylko z niej drwił i szydził. Z głodu śmierć już nawet własne ciało objadała, dlategoteż teraz tak strasznie chuda. Po długich prośbach śmierci przyobiecał jej nareszcie kowal uwolnienie z drzewa, jednakże pod tym warunkiem, że wyrzeknie się prawa do jego osoby.

Śmierć z ochotą na warunek ten przystała, a po uwolnieniu uciekała jak mogła i kowalowi dała już spokój na zawsze. To ją jednak martwiło, że prosty kowal takiego jej figla spłatał, namówiła więc djabła, aby się za nią na nim zemścił.

Djabeł do tego skory, popędził do kowala, a stanąwszy tam, zapukał do drzwi. Kowal poczuł pismo nosem, zamknął drzwi na klucz, a na otworze od klucza przytrzymał otwarty miech. Gdy djabłu długo drzwi nie otworzono, dziurką od klucza wciskając się do izby, dostał się w miech. Kowel czemprędzej miech zawiązał, zawołał czeladników swoich i wszyscy razem położywszy djabła w miechu na kowadło, najcięższemi młotami kuć po nim poczęli. Djabeł wył i ryczał aż całe piekło drżało ze strachu; prosił i przysięgał, że już nigdy do kowala nie przyjdzie, a uwolniony zmykał co tchu do piekła.

Kowal żył jeszcze długie lata w spokoju, a kiedy już wszyscy krewni, przyjaciele i znajomi jego zmarli, jemu także życie się sprzykrzyło. Przygotował się więc na drogę wieczności i udał się w podróż do nieba. Przyszedłszy tam, nieśmiało zapukał do drzwi niebieskich. Piotr św. wychylił głowę, a nasz kowal, któremu było imię Piotr, poznał w nim dobrego patrona swego, który mu się w postaci ubogiego zakonnika na ziemi objawił i całe życie tak łaskawym dlań się okazywał. Teraz jednak Piotr św. surowo do niego się odezwał: „Idź precz ztąd, dla ciebie niebo zamknięto, boś zapomniał prosić o najlepsze: o zbawienie! To powiedziawszy, zamknął kowalowi drzwi przed nosem. Nie długo się namyślając, skierował kowal kroki swe wprost do piekła; spostrzegłszy go czarci, ze strachu przed nim drzwi piekła zatrzasnęli i obwarowali.

Zmartwiony tem kowal, że ani do nieba ani do piekła przyjąć go nie chcą, powrócił na ziemię do rodzinnej wioski, a pokrzepiając i odmładzając się sokiem z cudownej butelki, żył jeszcze długie lata. Dopiero gdy razu pewnego, popijając z butelki, upuścił takową na ziemię i w drobne potłukł kawałki, życie się jego na ziemi skończyło.

O jaskółkach.

Pod wieczór, w pięknym dniu letnim, siedział ojciec z synkiem przed domem swoim na ławce. Przed niemi błyszczało jeziorko, a gładką i spokojną jego wodę marszczyły tylko. zwykle pod wieczór bardzo ruchliwe, jaskółki, uderzając w nią skrzydełkami swemi, i tworząc tem na powierzchni wody coraz bardziej rozszerzające się kręgi.

Rozmawiając o tem i owem, odezwał się ojciec po chwili milczenia do syna:

— Spojrzyj-no do góry; widzisz tam ptasie gniazdo nad oknami pokojów naszych pod dachem? Patrz, jedno, co tylko zaczęte, co tylko trochę mułu przylepionego do ściany; drugie do połowy zrobione, a niektóre ze wszystkiem gotowe, a bardzo twarde i czyste.

— Oto widzisz, jak ich gospodynie, mówił dalej, wskazując na jaskółki, niezmordowanie tam i sam latają, i to się bawią, bijąc skrzydełkami w gładkie wody stawu, to przynoszą w pyszczkach muł i ziemię i robocie swojej nadają kształt wypukły dzióbkami i nóżkami swemi.

Gniazda te są bardzo mocne i twarde jak mur, a wewnątrz są usłane puchem i pierzem, żeby małym miękko było leżeć.

Gdy syn zapytał, czem się żywią jaskółki, ojciec tak dalej prawił.

— Jaskółki karmią się muszkami, komarami, i tym podobnemi małemi owadami, gniazdka zaś swoje zawsze lepią w miastach i wsiach około domów. Ludzie ich nie płoszą, bo one są więcej pożyteczne, niż szkodliwe, i przyjemnie im jest patrzeć na ich sposób życia. Przyjrzyj się tylko, jak wartko szybują w powietrzu, goniąc za swoją zdobyczą; ich też bystremu lotowi żaden ptak nam znany zrównać nie może. — Nad ranem jeno świt, świegocą i szeleszczą skrzydełkami u okien, czem nas budzą i wzywają do pracy, a przez cały dzień nie opuszczają skrzydełek, latają za pokarmem dla siebie i dla swych dzieci. Złowiwszy kilka much, spieszą zaraz z niemi do gniazdek, szybko wlatując w ich otwór i obdzielają swoją zdobyczą pisklęta.

Czyż z tego wszystkiego nie wielka dla nas nauka wypływa? jaskółka lepiąc zwolna i mocno swe gniazdo, uczy nas pracy i cierpliwości, a zabiegłością swoją ku dzieciom i swem tak rannem świegotaniem zachęca nas do podobnej troskliwości o swoje dzieci, i zaczynania dnia wczesną pracą.

— Przytoczę ci tu przykład ich wielkiej troskliwości o swoje dzieci.

Jaskółki raz ulepiły sobie gniazdko pod gzymsem domu; kiedy już miały dzieci, zdarzyło się, że jedno z nich przygramoliwszy się do otworu, wprzód, nim mu jeszcze piórka urosły, wypadło z gniazda, i padłszy na bruk, na śmierć się zabiło. Stare jaskółki ujrzawszy to nieszczęście, odleciały i po chwili przyniosły w dzióbkach malutkie kawałki twardej słomy, a przytwierdziwszy je gliną nakształt sztachetek około otworu gniazdka, ażeby ochronić pozostałe dzieci od smutnego wypadku ich biednego brata.

— Mogę ci jeszcze podać inny przykład ich zmyślności i chęci dopomagania sobie nawzajem.

Jakiś zuchwały wróbel rozgościł się raz w gniazdku jaskółki podczas jej nieobecności; a gdy ta powróciwszy, chciała się dostać do domku swego, wtedy wróbel wyściubił główkę z otworu i patrzył jej śmiało w oczy z rozdziawionym dziobem. Biedna jaskółka zapewne obraziła się tem srodze i zasmuciła bardzo taką napaścią, lecz nie mogła sobie poradzić własnemi siłami. Odleciała więc od gniazda i powróciła wkrótce z chmarą towarzyszek, a każda z nich przyniosła w dzióbku nieco gliny, i tą w oka mgnieniu zalepiły otwór gniazda, zamknąwszy na wieki w więzieniu wróbla, który jak wnosić należy, rychło zaginął dla braku powietrza i pożywienia.

Mógłbym ci jeszcze wiele powiedzieć o przezorności tych ptaków. W jesieni, gdy czas chłodny nastaje, jaskółki zbierają się w wielkie stada na dachach wysokich budowli, i przygotowują się do odlecenia do *cieplic*, to jest do ciepłych, czyli południowych krajów. Żeby zaś doświadczyć sił swoich, zwykle zataczają wpierw kilka wielkich kręgów w powietrzu, a potem upatrzywszy sobie dzień pogodny, udają się wszystkie razem ku południowi.

Tu syn zwrócił uwagę ojca na twierdzenie wielu ludzi, jakoby jaskółki na zimę kryły się w bagnach i sitowiu nad wodami, i jakoby ich nieraz siecią ze stawów wyciągano.

— Tym baśniom nie wierz, mój synu, rzekł ojciec; być jednak może, że wyciągnięto nieraz jaskółkę z wody, ale to się stać mogło tylko przypadkiem. gdy która z nich osłabłszy w locie, padła na wody, i tam zginęła. Zważ zresztą, że natura jaskółki nie jest tak usposobioną, jak niektórych zwierząt; na przykład niedźwiedzi. żółwi, ryb i t. p.. z których jedne mogą zimę przepędzić w odrętwieniu bez pożywienia, a drugie żyć w wodzie. Jaskółka ma naturę podobną wszystkim ptakom, któreby zginęły bez pożywienia i wolnego powietrza.

Ale wracając do rzeczy, twierdzą naturaliści, to jest ludzie uczeni, wiedzący i piszący wiele o zwierzętach, że jaskółki odlatują na zimę do środkowej Afryki; na wiosnę zaś powracają znowu w nasze północne kraje. — Czasami, przy wcześniejszem nastaniu u nas ciepła, niektóre z nich przylatują do nas zbyt wcześnie, a kiedy się nagle oziębi, i znów nastaną mrozy lub śniegi, to biedne zamierają dla braku pokarmu lub z zimna. Ztąd też powstało przysłowie: że *jedna jaskółka nie przynosi wiosny.*

Ale kiedy przylata ich mnóstwo, to możemy być pewni, że zima przeszła i dlatego zawsze cieszymy się z ich powrotu. Opatrzność bowiem dała zwierzętom instynkt, czyli przeczucie pewne, według którego swem życiem kierują. O tem nas jeszcze i to przekonywa, że jaskółki, dążąc do nas na wiosnę, znajdują znowu drogę przez wielką przestrzeń mórz i krajów do tych samych miast, wsi i domów, gdzie wzrosły. O tem znowu tak się przekonywano, że niektóre z nich łapano i cechowano jakiemiś znaczkami przed ich odleceniem, a z któremi znowu w te same miejsca na wiosnę przybyły. — Powróciwszy, poprawiają swoje gniazda lub lepią nowe.

Lud umie się wywdzięczać jaskółkom za ich przywiązanie do domów naszych, bo za grzech uważa psucie ich gniazdek lub niszczenie młodych. Z tego też zapewnie poszanowania tych ptasząt powstał na wsiach przesąd, że w którym domu im gniazdko zrujnują lub młode zabiorą, tam jakby na ukaranie, krowy krwiste mleko dają, które jednakże niczem innem nie jest, jak wynikłością choroby tych bydląt.

Jaskółki lęgną się tylko raz w ciągu lata; liczba ich jajek nie przenosi siedmiu; są one wielkości wróblich, na tle białem mają cętki ceglaste.

Trzy gatunki jaskółek widzieć się u nas dają: właściwe jaskółki czyli dymówki z białemi brzuszkami, gnieżdżące się po większej części w kominach domów; jeżyki, mające pod dzióbkiem piórka białe, a na brzuszku czerwonawe i gnieżdżące się u gzymsów lub pod strzechami domów; oknówki zakładające gniazda pod oknami i grzechołki z znacznie dłuższemi od jaskółek ogonami, które bardzo wysoko latają, a gnieżdżą się tylko nad wodami w ziemi.

500-letnia rocznica wynalezienia sztuki drukarskiej.

W czerwcu bieżącego roku upływa przypuszczalnie 500 lat od dnia urodzin Jana Gutenberga. Przypuszczalnie, gdyż dokładny dzień urodzin wynalazcy druku nie jest wiadomy.

Europa zachodnia, szczególnie zas miasto Moguncya (w Niemczech), miejsce urodzin Gutenberga, czyni wielkie przygotowania celem uroczystego obchodu tej rocznicy.

Pierwsza drukarnia w Polsce pojawiła się już w parę lat po wynalezieniu druku, a mianowicie w r. 1465 przybył do Krakowa ze swą wędrowną drukarnią Zeiner

i tam wydrukował pierwszą książkę pod tyt. „Joannis de Turrecremata Cardinalis S. Sixti vulgariter nuncupati Explanatio in Psalterum finit Cracis“. Zaraz po nim pojawił się w Krakowie około r. 1480 Swietopełk Fioł, o ile się zdaje rodem z Krakowa, który pierwszy zaczął drukować książki w języku słowiańskim, jak „Ośmiogłaśnik“ i „Czasosłowiec“. Jednak około r. 1492, podejrzany o szerzenie zasad husyckich, porzucił Kraków i udał się do Węgier. Około roku 1505, bogaty mieszczanin krakowski, Jan Haller, założył pierwszą stałą drukarnię, połączoną z handlem książkami. Prawie że jednocześnie rozpoczął żywą działalność Hieronim Wietor ze Ślązka, który pierwszy zaczął drukować książki w języku polskim, jak np. „Rozmowy Marchołta z Salomonem“ (1521), oraz św. Bonawentury: „Życie Pana Jezusa“.

Od tego czasu drukarstwo rozwijało się u nas coraz bardziej, wypierając powoli rękopisma. Początkowo książki nie były co prawda bardzo tanie, z powodu drożyzny papieru, lecz gdy ten staniał, to i książki spadły w cenie, co znacznie wpłynęło na ich rozpowszechnienie. Pod względem wykonania książki te nie ustępują współczesnym dziełom, wykonanym za granicą. Rozwojowi drukarstwa pomagał wielce połączony z niem handel książkami, jak i to, że drukarze nieraz byli uczonymi, tłómaczyli więc, poprawiali i wydawali cenne dzieła. Sprzyjała również i swoboda pod względem religijnym, aż wreszcie w roku 1547, ks. Biskup krakowski, Maciejewski, rozporządzeniem swem z dnia 26 kwietnia tegoż roku zaprowadził cenzurę, wskutek czego nie wolno było wydawać dzieła bez uprzedniego przejrzenia i pozwolenia Biskupa lub rektora uniwersytetu.

Za panowania Zygmunta I. istniało w Krakowie już pięć drukarń, w Wilnie w roku 1525 pojawiła się pierwsza drukarnia, wydająca przeważnie dzieła słowiańskie.

Na koniec panowania Zygmunta Augusta, było już w Krakowie 7 drukarń, w Wilnie 3 i prócz tego wielu magnatów zakładało drukarnie w dobrach swych, jak Radziwiłłowie, Ostrogscy i inni heretycy. Arjanie mieli podobnież drukarnią, rozwijającą się coraz bardziej w Krakowie. Drukarnia ta zniknęła za panowania Władysława IV.

W Warszawie istniała w owych czasach jedna mała drukarnia Mikołaja Scharffenberga, z przeniesieniem jednak stolicy z Krakowa do Warszawy, poczęły i drukarnie przenosić się do Warszawy, tak, że za Jana Kazimierza w Krakowie pozostały tylko trzy: Piotrkowczyków, Szedlów i Cezarych.

Pierwszym stałym drukarzem w Warszawie był Jan Rossowski, któremu Zygmunt III w dniu 12 lipca 1624 r. nadał przywilej na drukarnię i powierzył druk wszelkich uchwał, mandatów, uniwersałów i rozporządzeń rządowych.

Pod koniec panowania Zygmunta III rozpoczął się powolny upadek drukarstwa u nas, tak, że na początku XVIII stulecia pozostała w Krakowie, prócz drukarni Akademii krakowskiej, jedna tylko drukarnia Cezarych, w Warszawie zaś jedna tylko pijarska.

W dniu 5 sierpnia 1694 roku. towarzysze z drukarni Akademii krakowskiej wystąpili do rektora Akademii z podaniem o zatwierdzenie ustawy.

Ustawę tę, w dniu 19 października 1696 r. zatwierdził i własnoręcznie podpisał August II, mianując ks. Franciszka Józefa Przewoskiego rektora Akademii, przewodniczącym tegoż zgromadzenia.

Dłuższy czas pozostawała sztuka drukarska w upadku, aż nareszcie za panowania Stanisława Augusta, tego opiekuna sztuk i nauk, podnosić się zaczęła.

Nota, podana na sejm w Grodnie 1784 r. z prośbą towarzyszów sztuki drukarskiej o poparcie i opiekę, wylicza drukarnie w Warszawie: korpusu kadetów, księży Pijarów, komisyi edukacyjnej, Piotra Dufour, Michała Grölla i księży Misyonarzy. Znajdowało się w nich pras 25, zatrudniały zaś 50 preserów i 96 zecerów. Prócz tego były drukarnie: w Poznaniu 2, Lesznie 2, Kaliszu 1, Łowiczu 1, Częstochowie 1, Krakowie 5, Sandomierzu 1, Supraślu 1, Poczajowie 1, Berdyczowie 1, Grodnie 1, Słonimie 1, Wilnie 5, Gdańsku 2 i w Toruniu 2.

Obecnie sztuka drukarska rozwija się u nas coraz bardziej, tak, iż zarówno pod względem smaku, jak i wykonania, w niczem nie ustępuje zagranicy.

Chrzest Wiktoryna.

Wiktoryn, sławny mowca, był w Rzymie nauczycielem krasomowstwa Z zapałem oddawał się naukom, do których miał wiele zdolności; czytał, badał i wyjaśniał prawie wszystkie dzieła starożytnych filozofów, był jednym z najznaczniejszych senatorów rzymskich, nakoniec tak się wsławił, że w dowód uznania wzniesiono mu pomnik na publicznym placu w Rzymie, co uchodziło za największy zaszczyt, jakiego

człowiek mógł dostąpić. Lecz jeszcze był poganinem i gorliwym czcicielem bożków, a wymową swoją cześć tę rozszerzał między uczniami.

Jakiejże łaski było potrzeba, aby wzruszyć i nawrócić to serce? Oto środek, którego Bóg użył. Wiktoryn czytał Pismo św. i inne dzieła o religii chrześcijańskiej, po gruntownem poznaniu ich, powiedział raz poufnie do św. Symplicyusza, że jest chrześcijaninem.

— Nie wierzę temu, odpowiedział św. Symplicyusz; i nie uwierzę, że jesteś chrześcijaninem, dopóki cię nie ujrzę w kościele, gdzie się zgromadzają wierni.

— Jakto? — odpowiedział Wiktoryn, — czy to dopiero w obrębie muru kościelnego jest się chrześcijaninem?

Zawsze, ile razy upewniał, że jest chrześcijaninem, św. Symplicyusz powtarzał to samo a Wiktoryn odpowiadał tym samym sposobem żartobliwym.

Wstrzymywała go od jawnego wyznania bojaźń rozdrażnienia pogan, których zemsta srodze dosięgnąćby go mogła; ale w końcu odwaga i wspaniałomyślność przyszły mu w pomoc, wrażenia otrzymane z czytania dzieł świętych odniosły zwycięztwo nad jego sercem, zrozumiał, że byłoby występkiem wstydzić się prawdy chrześcijańskiej, a nie wstydzić się zabobonów pogańskich i świętokradzkich.

— Chodźmy do kościoła! postanowiłem nietylko być, ale i jawnie okazać, że jestem chrześcijaninem.

Uszczęśliwiony tem św. Symplicyusz, zaprowadził go natychmiast i zapisał go do rzędu tych, którzy o Chrzest prosili. Rzym był zdziwiony i uniesiony radością, która była udziałem całego Kościoła, z powodu głośnej sławy i wziętości, jakiej używał ten wielki człowiek.

Nareszcie nadszedł szczęśliwy dzień, przeznaczony na Chrzest św. Było zwyczajem Kościoła rzymskiego, czynić wyznanie wiary przed Chrztem w słowach odmawianych na pamięć i głośno w obecności wiernych. Kapłani nie chcący go narazić na prześladowanie pogan, radzili mu uczynić to prywatnie, ale Wiktoryn chciał wyznać głośno i publicznie naukę niebieską, mającą doprowadzić go do zbawienia. Zaledwie ukazał się na trybunie, nagle uniesienie radości rozniosło imię jego po całem zgromadzeniu, a chociaż każdy miarkował swój głos, przez uszanowanie dla świętego aktu i miejsca, to jednak ze wszystkich stron słychać było, jak nieraz wymawiali jego imię. Wszyscy ucichli, aby go słyszeć, a on pełen świętej odwagi, wymawiał głośno i wyraźnie

prawdy naszej Wiary i odpowiadał na wszystkie pytania, poprzedzające Chrzest święty.

Całe zgromadzenie chrześcijańskie zespoliło się w jednem żywem uczuciu radości z jego nawrócenia, które miało wielkie następstwa; a św. Augustyn, słysząc o tem od św. Symplicyusza, wyznał, że uczuł wielkie pragnienie wstąpić w ślady Wiktoryna, co wkrótce uskutecznił składając wyznanie wiary w ręce św. Ambrożego, a mając za ojca chrzestnego św. Symplicyusza.

ŁYSEK

Opowieść prawdziwa

(napisał Silef).

W miasteczku podkarpackiem żył sobie masarz. Na imię mu było Józef. Był to chłop tęgi, zbudowny jak olbrzym. Gdy szedł pośród tłumu, przewyższał każdego o głowę, a postać jego tem więcej jeszcze zwracała uwagę przechodniów, że nosił kapelusz czarny o szerokich krysach; sam przytem miał cerę śniadą, wąs duży, czarny — wyglądał wspaniale i okazale.

Ojciec oddał mu jeszcze za życia interes masarski, ożeniwszy go przedtem z córką swego kolegi — masarza. Głowa świńska a na wierzchu trzy szczecinki, nad niemi zaś topór i dwa noże do kłucia gardzieli niewinnych prosiątek — ten klejnot herbowy, połączył Józefa, masarza, syna masarza, z córką masarza.

Józef był człowiekiem wesołym i pracowitym. Prowadził interes masarski ku zadowoleniu swoich odbiorców, podobnie jak jego ojciec, i miał powodzenie. Zdawało się, że nic mu nie stanie na drodze do zrobienia fortuny. Ale stało się inaczej.

Wesołe towarzystwa przyjaciół i zabawy, którym Józef w wolnych chwilach hołdował, zaczęły go z czasem zupełnie pochłaniać. Doszło wreszcie do tego, że zamiast pracować w warsztacie lub doglądać roboty, wolał Józef jużto w winiarni czas tracić, jużto z kolegami, których mu nigdy nie zbrakło, zabawiać się grą w kręgle. Gdy zaś minęło lato i nastała jesień, już nic Józefa nie zatrzymało w domu. Wtedy kładł strzelbę na ramię, brał psy i polował całymi dniami. Polowanie przeszło wreszcie u niego w namiętność.

Sposobności do tropienia drobniejszej i grubszej zwierzyny mu nie brakło a i warunki miał po temu. Najpierw

posiadał niewyczerpane zdrowie. Mógł nieraz biedz za zającem, gdy ten nie został po strzale na miejscu. Następnie miał siłę olbrzymią. Sam nieraz opowiadał, że podnosił konia, wziąwszy go rękami za przednie nogi, a wołu przewracał na ziemię w ten sposób, że go chwytał za rogi i tak długo nim kręcił, aż biedny ciołek legł według jego woli.

Gdy czasem na jarmarku przyszło do sprzeczki między sprzedającymi a nim, albo też między którymś z kolegów po toporze i nożu, wtedy to Józef wyrwawszy kół z płotu albo uchwyciwszy w swe potężne ręce kawał drzewa ze straganu żydowskiego, wywijał tą bronią w powietrzu jak bohater wojenny i sam jeden w mgnieniu oka rozpędzał napastników.

Cała okolica, w której jeździł po jarmarkach, uznała go za najsilniejszego i najodważniejszego chłopa. On sam czuł dobrze tę swoję nad każdym przewagę. Nie bał się nikogo i jeździł sobie swobodnie po jarmarkach kupując od wieśniaków tłuste i chude prosiaki, jakie się trafiło.

Prawie każdy wieśniak w okolicy znał Józefa, masarza, bo ten i napił się z chłopem, od którego dobrze kupił i sam na litkup zawsze zapraszał. Cieszył się nawet życzliwością u wieśniaków, bo zawsze ujął się za biednym chłopkiem, którego chcieli skrzywdzić kupcy-niemcy. Ile razy widział ich intrygi, zmierzające do ograbienia chłopa przy sprzedaży, sam mu więcej zapłacił, za towar a z niemcami dawał sobie jakoś radę, chociaż tam nie tęgim był w niemieckiem.

Szwabiska znały przed nim respekt. Gdy był w dobrym humorze, mawiał, że jakby chcieli polskiemu chłopu zrobić krzywdę, to im nogi powyrywa i da im się bawić, a wtedy odniechce im się raz na zawsze przyjeżdżać na polskie jarmarki i robić majątki na biedzie polskiego chłopa.

Na tego rodzaju czynnościach schodziły szybko lata Józefowi. Małżeństwo jego pobłogasławił Pan Bóg kilgorgiem dzieci. Wydatki na utrzymanie rodziny wzrastały, a dochodów nietylko że nie przybywało, ale zaczęły jeszcze maleć. Interes Józefa, który niedawno jeszcze temu należał do najpierwszych w miasteczku, upadał z każdym rokiem wobec nowych interesów masarskich, które w tym czasie powstały. Prowadzili je ludzie o szerszych poglądach na wymogi publiczności, sami pracowali i doglądali warsztatów, a nie opuszczali się na czeladników ani na żony, jakto było u Józefa, który zostawił sobie tylko zakupno żywego towaru a o resztę, to już miała się troszczyć żona i jej brat. Tego trzymał Józef u siebie jako

czeladnika, bo i on, wierny zwyczajowi rodzinnemu, nie chciał się uczyć i wyjść na pana, — został więc masarzem.

Z początku żona dawała sobie jeszcze radę, ale w miarę przybywania dzieci przychodziło jej to trudniej. Nie mogła o wszystkiem pamiętać, a przez to dawni odbiorcy z powodu niepunktualności w dostawie, zaczęli się odstręczać.

Tymczasem Józef z lubością myślał czy to o nabyciu młodego psa, czy też o kupieniu nowej, ulepszonej strzelby lub wreszcie o tem, czy w nadchodzącej zimie będzie więcej zajęcy niż w ubiegłej. Świat zajęcy, sarn, dzików uśmiechał się mu i pociągał go nieprzepartą siłą ku sobie. On zajmował myśl jego, gdy jechał na jarmark; on był przedmiotem jego opowiadań w winiarni; o nim nawet marzył w domu, w którym tyle przebywał, ile przespał.

Żona martwiła się tym jego sposobem życia; błagała go, ażeby więcej w domu siedział i upadającego interesu pilnował. Nic to jednak nie pomagało a prośby jej te za sobą pociągały skutki, że Józef rozgniewany wychodził z domu i wracał dopiero późno w nocy. Jakby na przekor żonie jeszcze więcej odtąd polował, kupował psy, sprowadzał z Wiednia nowe strzelby, a gdy nie był na jarmarku ani na polowaniu, to przesiadywał w winiarni.

Nieszczęśliwa kobieta straciła nadzieję w lepszą przyszłość. Rozżalona skarżyła się przed sąsiadkami, że mąż coraz mniej dba o nią, o dzieci, o interes, — że po za domem traci pieniądze, na które ona krwawo pracuje. Sąsiadki dawały jej to te to owe rady, które na nic się nie przydały, bo Józef trybu życia nie zmieniał. Była jednak cierpliwą i dobrą dla niego, bo ile razy spóźnił się z powrotem czy to z jarmarku, czy z polowania, czy wreszcie z winiarni, zawsze wyglądała go z obawą, czy mu się co złego nie przytrafiło i czekała na niego z ciepłą wieczerzą.

To wyczekiwanie było Józefowi nie na rękę. On tę jej troskliwość wziął za chęć śledzenia go, kiedy do domu powraca. Zapowiedział więc żonie, ażeby na niego, jeśliby się spóźnił, nie oczekiwała, ani nie zostawiała mu, jak dotychczas, wieczerzy w rurze.

Żona milczeniem przyjęła to do wiadomości i odtąd, zgodnie z jego wolą, nie czekała ani z wieczerzą, ani nie patrzyła na zegar, kiedy wrócił do domu, udawała, że śpi, chociaż w duszy przechodziła męki, bo kochała swego męża prawdziwie, i gotowa była wszystko mu przebaczyć, byleby tylko ła-

godnie do niej przemówił i przyrzekł prowadzić inne życie. Ale do tego jakoś nie mogło przyjść.

Zachowanie się żony zaczęło Józefa z czasem zastanawiać. On może nie chciał naprawdę tych porządków, jakie żona zaprowadziła, a udana jej obojętność zaczęła go drażnić.

Raz powrócił już dobrze po dwunastej w nocy do domu z winiarni. Wszedłszy do drzwi, pyta się żony: — gdzie moja wieczerza? Ta mu na to: — Tam, gdzie przepędziłeś pół dnia — tam jej szukaj. Zresztą nakazałeś, ażeby ci nie zostawiać, więc zastosowałam się do tego.

— Dobrze! — wykrzyknął uniesiony gniewem Józef tak głośno, że aż dzieci się pobudziły. — Więc ja tu nic nie znaczę w tym domu?! Zatem zostawię tu panią samą, zostawię jej wszystko, cały interes — a sam pójdę w świat na siebie pracować, bo już nie mogę na to gospodarstwo mojej pani patrzeć. Jeszcze dziś i to zaraz zabieram się na kraj świata. Na tyle zarobić jeszcze potrafię, że wyżywię siebie i mojego „Łyska“. Ten koń ma dla mnie więcej czucia, bo rży, gdy przychodzę do domu, a moja pani to sobie śpi wygodnie.

— A i owszem, jedź — rzekła mu żona — myśląc, że to żarty.

Lecz Józef, zapaliwszy świecę, otworzył komodę i zaczął pakować bieliznę do tłomoczka. Zbudził potem w kuchni chłopaka i kazał mu natychmiast zaprzęgać Łyska do wózka. Chłopak przetarłzy oczy dziwił się po co ma zaprzęgać Łysego o tak późnej godzinie, lecz znając swego pana pospieszył spełnić jego rozkaz.

Tymczasem Józef związał tłomoczek z bielizną i ubraniem, a gdy już był gotów do drogi, rzekł:

— Bądźcie zdrowe moje dzieci, już mnie więcej nie zobaczycie! To powiedziawszy zwrócił się ku drzwiom.

Wtedy żona widząc jego stanowczość zerwała się z łóżka, przypadła do niego i z płaczem błagała go, ażeby został. Dzieci widząc, co się dzieje, rzuciły się do nóg ojcu.

Lecz ani płacz dzieci, ani błagania żony nie pomogły. Józef wypadł z pokoju na ulicę, gdzie czekał nań Łysek gotowy już do drogi. Szybko wsiadł na wózek, ujął lejce w ręce i odjechał. Turkot tylko dolatywał do uszu dzieci i matki.

Teraz dopiero żona Józefa zrozumiała całą grozę położenia. Noc była ciemna, że oko wykól, mąż w stanie podchmielonym, a przy takim koniu jak Łysek, co chodził równo z wiatrem, nie trudno było o jakieś nieszczęcie. Trwoga o męża

nie pozwoliła jej siedzieć bezczynnie. Zbudziła natychmiast swego brata, ażeby go wysłać za mężem. Ten wziąwsyy ze sobą chłopców z terminu, wyszedł z domu na poszukiwanie szwagra, który opuściwszy żonę i dzieci pojechał na kraj świata szukać dla siebie chleba dlatego, że nie znalazł w rurze ciepłej kolacyi.

Po dwugodzinnem prawie poszukiwaniu powrócił z niczem; niczego się nie dowiedział, nikt nie widział Józefa z tej prostej przyczyny, że całe miasteczko pogrążone było we śnie a noc i przejmujące do szpiku kości zimno — ot, jak w listopadzie, gdy zima ma nadejść a śniegi spaść niebawem — nawet stróżów publicznego bezpieczeństwa nie zachęcały do gorliwej służby. Słysząc to dzieci zaczęły płakać a wraz z niemi matka. Młodsze potomstwo nie rozumiejąc dobrze, co się ojcu może przytrafić, zasnęło po chwili. Czuwały tylko najstarsza córka i matka wyglądając niecierpliwie dnia.

Szwagier Józefa, który także nie myślał o przespaniu reszty nocy, uspokajał siostrę perswadując, że mężowi nic się nie może przytrafić. Łysek zna znakomicie wszystkie drogi i zakręty i z pewnością nie wywróci wózka, gdyby nim nawet nikt nie kierował. Żaden atoli rozumny argument nie mógł trafić do przekonania bujnej wyobraźni kobiecej.

Tak wśród niepewności i trwogi upłynęło niespełna dwie godziny. Wtem nagłe dał się słyszeć turkot wozu przed domem. Potem cisza... a po chwili Łysek zarżał radośnie. Wybiegła żona Józefa, dręczona obawą, czy koń sam, czy też razem z panem powrócił.

Jakaż była jej radość, gdy mąż zeskoczył z wózka i, rozkazawszy wyprządz konia, mówił:

— Piekielne zimno... nie czuję ani rąk, ani nóg, bo zapomniałem zabrać ciepłe rękawice i filce na nogi... a to bydlę poczciwe jakżeż niepotrzebnie zmęczyłem mojem szaleństwem! Gdym poczuł zimno, wtedy dopiero przekonałem się, co za głupstwo popełniłem! Przypomniałem sobie, jaką scenę wyprawiłem w domu. Żal mi się zrobiło ciebie i dzieci; lecz nie uwierzysz, gdy ci powiem, że przeszło dwie mile już ujechałem. W tym koniu to chyba dyabeł siedzi — takie ma chody. Nie oddałbym go nikomu za żadne skarby. Lecz ty się nie gniewasz na mnie, żem ci zrobił taką przykrość — mówił do żony ująwszy ją za rękę.

O nie! — odrzekła — dziękuję Bogu, żeś powrócił cały i zdrów.

Ta lekkomyślna przejażdżka tak na Józefa podziałała, że żona nie potrzebowała już więcej skarżyć się przed kumoszkami na męża; nie oczekiwała już na niego z wieczerzą, bo od owej nocy zmienił się on do nie poznania. Zarzucił i winiarnię i razem z nią fałszywych przyjaciół swej kieszeni, a cały czas poświęcał temu, ażeby interes dźwignąć do dawnej świetności, w jakiej mu go ojciec oddał.

Odtąd nie robił już nigdy nocnych wycieczek na kraj świata... Łyska zostawił u siebie na łaskawym chlebie a w jego miejsce pełniły teraz u Józefa służbę dwa piękne, rosłe konie, spoglądające dumnie na małego towarzysza. Zazdrościły mu jednak pieszczot, któremi go pan codziennie obsypywał, mówiąc do niego: tobie, tobie to mój dobry poczciwy Łysku, zawdzięczam dziś wszystko, co mam. Tyś mnie ocalił w ową noc listopadową od niechybnej zguby... Ty bydlę poczciwe miałeś więcej rozumu, niż ja człowiek szalony, boś nie poszedł w urwistą przepaść nad rzeką w ową noc straszliwą, chociaż dobrze czułeś na swej skórze siłę mojej ręki. Żyj jak najdłużej moje poczciwe konisko.

WIECZÓR NA WSI.

Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy,
    Po wsi ściągają się dziatki,
    Niosąc jagody i kwiatki.
Tam pasterka w głębi sioła
Błędnej krówki na noc woła,
    Słońce za lasy uchodzi,
    Bramy złocone odwodzi,
Koń opuszcza żółte łany,
Wraca miedzą popętany,
    Grusze co w polu się bielą,
    Długi ku drodze cień ścielą.
Już zaporą skrzypła chatka.
Gdzie przy dziatwie sama matka.
    Pastuch do stawu wesoły
    Krówki zagania i woły,
Ptaszek śpiewem utrudzony
Już się zniża na zagony,
    Rolnik co razem z nim nucił,
    Pole z wołami porzucił.

Żebrak, który koło włości
Wołał we dnie do litości,
    Już się w spoczynek udaje,
    Śpiewa nabożnie przez gaje.
Na kościółku krzyż blaszany,
Błyszczy blaskiem zórz oblany,
    Ptaszki ruszyły się z wieży,
    Dzwonka wołanie się szerzy.
Z pola idąc z wiązka siana,
Pada matka na kolana,
    Z dzwonkiem pod nieba sklepienie
    Maryi szle pozdrowienie.
Wzniosła lipa przy kościele
Długi cień na pole ściele
    Jakoby łzami żałoby
    Rosa upada na groby.
Krzyż spróchniały, pochylony,
Nad mogiłą wyniesiony.
    Wiatr chorągiewką kołysze,
    Smutną przerywa zaciszę.
Za parkanem między krzewy,
Zaczął słowik smutne śpiewy
    Kwiatkom drzemiącym na łące
    Świecą robaczki błyszczące.
Na pagórku po nad łany,
Stoi prosty słup drewniany;
    Na nim w cierniowej koronie
    Zbawca świata skłonił skronie.

Wieśniak z Kramond.

Było to w Szkocyi za panowania króla Jakóba V, w połowie XVI wieku. Ubogi pewien rolnik młócił właśnie zboże w stodole, gdy naraz usłyszał niezwykły krzyk i ścieranie się kilku szpad. W mgnieniu oka wyskoczył uzbrojony w cepy i spostrzegł góralskiego młodzieńca pięknej postawy, ubranego w kurtkę aksamitną i takież spodnie, broniącego się przeciwko pięciu łotrom. Schronił on się na most i silnie zasłaniał z przodu swą szpadą, lecz łotry dobrze byli uzbrojeni i już o mało nie pokonali swej ofiary, gdy naraz Jan się na nich rzucił. Wieśniak tak doskonale umiał użyć swej broni, że złoczyńcy, odebrawszy silną ręką kilka skutecznych razów, pouciekali.

— Dalipan, kolego — zawołał teraz góral — w sam czas przybyłeś; bez twej pomocy narażony byłbym na niechybne spadnięcie z mostu, gdyż siły już mnie opuszczały, a te łotry coraz natarczywiej nacierały. Dziękuję ci serdecznie, mój poczciwy człowieku — dodał, podając rękę Janowi.

— Ach! niema za co — odpowiedział Jan — jest to usługa, którą każdy uczciwy człowiek winien oddać drugiemu. Proszę tylko, wejdź na chwilę do mego mieszkania, abyś obmył twarz i ręce krwią zbroczone.

Podróżny młodzieniec zgodził się chętnie na to, a gdy się należycie oczyścił i wypoczął, Jan ofiarował mu się służyć za przewodnika aż do końca drogi, prowadzącej do stołecznego miasta Edynburga.

W drodze opowiedział Jan, że się zowie Howieson i od wielu lat praauje na folwarku, należącym do dobrego króla Jakóba.

— Ja zaś — odrzekł młodzieniec — jestem biednym dzierżawcą i zaledwie miałbym z czego żyć, gdybym nie należał do dworu królewskiego.

— Ach! jesteś więc w służbie króla! Kiedy tak, to uważam cię za daleko szczęśliwszego odemnie, bo ja nawet nie widziałem jeszcze naszego króla.

— Mogę ci nawet pokazać jego pokoje — odrzekł młodzieniec — przyjdź tylko w przyszłą niedzielę do Edynburga. Za pałacem królewskim są małe drzwiczki, które łatwo spostrzeżesz. Pukaj śmiało, pytając o dzierżawcę.

— Zgoda, w niedzielę — odparł góral.

W dniu oznaczonym Jan, ubrany w swe niedzielne suknie, stanął nie bez obawy przed małemi drzwiami edynburskiego pałacu. Zaledwie wymówił nazwisko dzierżawcy, oficer, na straży będący, wprowadził go do sali dolnej, gdzie już zastawiony był stół wykwintnemi potrawami. Wieśniak wypróżnił właśnie ostatni kieliszek, kiedy młody człowiek, z którym się był poznał, wszedł do sali. Miał on na sobie ubiór górali, ale przy boku szpadę bogato wysadzaną, a na głowie pyszny kapelusz z piórami.

— Dobrze, mój bracie — ozwał się, podając rękę wieśniakowi — jesteś akuratnym, lubię takich ludzi. Znając tutejszych kucharzy, kazałem ci przyrządzić to małe śniadanie, a teraz pokażę ci pokoje królewskie.

Poczciwy wieśniak udał się za swym przewodnikiem, ale szedł na palcach i zaledwie śmiał oddychać. Radość swą i zadziwienie okazywał niezrozumiałymi wyrazami.

Kiedy znajomy młodzieniec już po całym oprowadził go pałacu, zapytał, czy nie miałby chęci widzenia króla?

— O, i owszem, jakże byłbym szczęśliwy — odpowiedział wieśniak.

— Wejdźmy tedy do sali posłuchalnej, a tam, ukryty w kąciku, nie będąc widzianym, wszystko zobaczysz. Uważaj tylko, gdyż wszyscy będą z odkrytymi głowami, a król w kapeluszu z piórami.

Jan z twarzą zapłonioną wszedł do sali, napełnionej szlachtą i oficerami dworu. Trwoga wieśniaka doszła do najwyższego stopnia, tak dalece, że zapomniał nawet zdjąć czapki, ukrył się za swym przewodnikiem i spoglądał naokoło, ale nie mógł dostrzedz króla.

— Powiedziałem ci już — rzekł mu domniemany dzierżawca — że go poznasz po kapeluszu z piórami, który zachowa na głowie.

— Jeżeli tak, to albo ty, panie, albo ja jestem królem — odparł, śmiejąc się wieśniak — my dwaj tylko bowiem mamy nakryte głowy.

Na tę naiwną odpowiedź towarzysz Jana serdecznie śmiać się zaczął.

W tej chwili przystąpili ku niemu wszyscy panowie, a okazane mu uszanowanie odkryło dopiero prawdę wieśniakowi.

— Ach! zawołał, padając na kolana — jestem zgubiony, to król!

Był to w rzeczy samej król Jakób V, który miał zwyczaj przebiegać swoje królestwo, przebierając się za górala lub za wieśniaka i głosząc się dzierżawcą.

— Powstań — rzekł król — jesteś poczciwym i zacnym człowiekiem, któremu winien jestem życie. Podobna zasługa nie może zostać bez nagrody. Powróć do domu, a folwark, na którym mieszkasz i któregoś tak mocno pragnął, będzie odtąd twoją własnością.

Jan był najszczęśliwszym człowiekiem w Szkocyi. Doczekał się późnej starości i nigdy nie mógł dosyć naopowiadać się swej przygody z królem Jakóbem.

Rozmaitości.

Ciekawe rozporządzenie wydał w tych dniach prezydent rejencyi opolskiej. (na Śląsku pruskim). Powiada on, że w opolskim obwo-

dzie rejencyjnym rozpowszechnia się powoli jedzenie mięsa z psów. W pewnem mieście ludzie co najmniej 600 psów zjadają każdego roku, i to gotowane z nich mięso, albo też surowe. Że zaś pies ma jeszcze częściej trychiny, aniżeli wieprze, rozporządzenie powyższe radzi, choć jeszcze nie nakazuje, żeby w okolicach, gdzie wiele psów zjadają, zaprowadzić rewizyą także na mięso psie, celem zabezpieczenia ludzi przed trychinami. W Kamienicy (Chemnitz) w Saksonii podobno już od dłuższego czasu rewidują psy przed i po zabiciu, tak jak wszelkie inne bydło lub nierogaciznę.

Miasto o 397 klasztorach. Rzym liczy obecnie 210 klasztorów męzkich, 187 klasztorów kobiecych, 74 związków i stowarzyszeń religijnych, 50 papieskich urzędów, 182 zakładów, założonych i prowadzonych przez duchowieństwo (przytułki, kolegia, seminarya itd.), 100 związków katolickich świeckich, klubów, komitetów, bractw itd. pozostających pod opieką kardynałów.

Ciekawe liczby. Z ogólnej ludności świata 500,000.000 posiada odzież zupełną, a 250,000.000 chodzi zupełnie nago. Pod względem zamieszkania: 500,000.000 przebywa w domach, 700,000.000 mieszka w szałasach i jaskiniach, a 250,000.000 sypia pod gołem niebem.

Osobliwy gmach stanął w Ameryce, mianowicie w mieście Nowym Jorku. Liczy on 6 piąter, a mieści w sobie to wszystko, czego człowiekowi w życiu potrzeba od kolebki aż do grobu. Można więc tam odbywać chrzciny, wesela i połączone z tem uroczystości, a także i pogrzeby.

Pałac ten, wystawiony przez Stefana Merüt, pomieści 5000 osób: posiada halę żałobną, kaplicę, salę na wesela, chrzciny i t. p. salony restauracyjne, mieszkania dla gości przybyłych z prowincyi i — piec, w którym trupy można spalić w bardzo krótkim czasie, nie za pomocą ognia, lecz skroplonego powietrza.

Podziemia mieszczą ogromną halę, gdzie się zbierają goście pogrzebowi. Z tyłu podwójno szerokie schody prowadzą na pierwsze i drugie piętro, gdzie się znajdują niezwykle obszerne sale weselne i balowe. Na trzeciem piętrze wchodzi się do kaplicy o ścianach zdobnych obrazami, przedstawiającemi sceny z Biblii. Ponad tem piętrem mieszczą się izby gościnne i jadalne, a jeszcze wyżej kuchnie i pomieszkania osób zajętych przy gmachu.

Wieczysty ogień płonie dotychczas od 1.200 lat w pogańskiej świątyni Udwada w Indyach. Ogień ten podsycany bywa pięć razy na dobę santalowem drzewem i różnemi pachnącemi gałązkami. Przynieśli go tu Gwebrowie, czyli czciciele ognia z Persyi. Kiedy niekiedy przybywają oni z różnych stron Indyj, aby się zniczowi pokłonić.